

NAZISTA NA BANKIECIE

WITOLD
MROZEK

GAZETA WYBORCZA

To duża sztuka: zrobić trzygodzinny spektakl, w którym nic się nie wydarza. Zwłaszcza jeśli ma się takich bohaterów. Wyobraźcie sobie Tomasza Terlikowskiego pracującego w „Wyborczej”. I to w „Dużym Formacie”. Protestantki integrysta John traktuje pracę w liberalnym „New York Timesie”, siedlisku zła, jako misję od Boga. Co więcej, jest wzorowany na postaci autentycznej: dziennikarzu, który w 1965 r. ujawnił na łamach „NYT” żydowskie korzenie Daniela B., lidera ówczesnej amerykańskiej partii neonazistowskiej, pokazując jego tożsamościowe rozdarcie. To ten artykuł - wraz z filmem „Fanatyk” z 2001 r., z którego nie zostało tu zbyt wiele - miał być luźną inspiracją dla spektaklu „Wyznawca” Natalii Korczakowskiej.

Właśnie Daniel, drugi bohater „Wyznawcy” - i zarazem tekstu Johna - jest może jeszcze trudniejszy do wyobrażenia. Utleniony na blond Żyd z religijnej rodziny bryluje po imprezach nowojorskiej socjety, w mundurze organizacyjnym ze swastyką na ramieniu. Skąd ten „kontrowersyjny”, jak piszą w materiałach prasowych spektaklu, wybór? Trauma Daniela musi sięgać dzieciństwa - nazistowskie sympatie odczuwa od świętego roku życia.

Polityczna tragikomedie? Konflikt pełen paradoksów? W założeniu - pewnie tak. W realizacji - znacznie gorzej.

Daniel Mateusza Króla jest egzaltowanym i niestabilnym emocjonalnie młodzieńcem; trudno zrozumieć zarówno to, skąd bierze się jego dramat, jak i dlaczego uwodzi otoczenie. Między nim a religijną rodziną nie zarysowuje się żaden wyczuwalny konflikt, nie ma żadnego napięcia - ich relacja szeleści papierem. Lepiej wypada Wojciech Żołądkowicz w roli Johna. Gra niesympatycznego aroganta bez żadnych wątpliwości i we-

„Wyznawca” Natalii Korczakowskiej w Teatrze Studio to próba opowiedzenia o korzeniach ekstremizmu. Niestety, nieudana

MARTA ANKERSZTEJN DLA 7. FESTIWALU GORZKIE ŻALE/NOWE EPIFANIE



Daniel, którego gra Mateusz Król, to tleniony na blond Żyd z religijnej rodziny. Bryluje po imprezach nowojorskiej socjety w mundurze organizacyjnym ze swastyką na ramieniu

wewnętrznych dramatów, przemawiającego (dosłownie) ex cathedra.

Najmocniejszym punktem „Wyznawcy” jest mała rola Lecha Łotockiego. Gra starszego pana ocalonego z Zagłady, Żyda z Polski. Rozmowa z nim ma być elementem resocjalizacji Daniela. Jest przekonujący, skromny, ujmujący i ironiczny zarazem.

Amerykański glamour scenicznego świata i filmowe środki wyrazu przypominają trochę teatr Grzegorza Jarzyny. Jak gdyby Korczakowska w „nowym” Studio (po rezygnacji dyrektora Agnieszki Glińskiej) próbowała robić TR sprzed paru lat. Wszystko to jest przeplatane na wideo śpiewem staropolskiego dialogu pasyjnego „O ofiarowaniu Izaaka” (autorem instalacji muzycznej jest Alois Späth). W końcu „Wyznawcę” koproduktował festiwal Gorzkie Żale, organizowany przez Centrum Myśli Jana Pawła II.

Obok liturgicznych śpiewów (katolickich i żydowskich) w spektaklu powracają bankietowe starcia dwóch wizji nowego faszyzmu. Postać grana przez Tomasza Wygodę to ktoś na kształt nowych prawicowych populistów z Polski, Francji czy Skandynawii - tęsknotę za „porządkiem”, „nową wspólnotą” i silnym przywództwem proponuje podlać wątkami antyimigracyjnymi, niewielką domieszką chrześcijańskiego fundamentalizmu i mocną apologią wolnego rynku. Żadnego antysemityzmu - to źle się kojarzy. Z kolei Daniel tęskni do mistyki krwi i ziemi, a przede wszystkim nienawici do narodu żydowskiego. Cały ten spór wygląda, jak gdyby goście wykwinętego przyjęcia na Manhattanie z klasycznych filmów Woody’ego Allena zaczęli udawać nazistów na narkotycznym haaju, w siódmej godzinie bankietu.

Dramaturgii nie ratuje też konflikt wewnętrzny fanatyka Daniela, który

w chwilach wolnych od snucia planów wysadzania synagog uczy swoją kochankę hebrajskich liter na ukradzonej Torze. Próba zbudowania paraleli między współczesną ekspansją skrajnej prawicy a teologicznymi rozważaniami Daniela, którego do nienawiści względem Żydów pcha groza biblijnej historii o ofiarowaniu Izaaka, w ogóle nie działa. Psychologiczne rozterki kompletnie nie przekonują, teatralna forma się rozłazi, diagnozy trafiają w płot.

Z reguły straszliwie irytują mnie argumenty o „teatrze z gazety” - tak częste u konserwatywnych recenzentów broniących „czystości sztuki” przed „doraźną polityką”. Jednak tym razem może naprawdę lepiej byłoby przedrukować wzmiankowany tu wielokrotnie artykuł z „New York Timesa” i opatrzyć go komentarzem? ●